...ETÓW LUDOWYCH 34.

HENRYK SIENKIEWICZ

Z PUSZCZY AMERYKAŃSKIEJ

LISTY Z PODRÓŻY

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER i SPÓŁKA
1907

Cena 8 kop.

Biblioteczka Uniwersytetów ludowych.

			Kop.
1.	Konopnicka Marya.	Dym	6
2.	» »	Banasiowa	6
3.	» »	Nasza szkapa	10
4.	» »	Niemczaki	6
5.	Żeromski Stefan.	Siłaczka. — Na pokładzie	8
6.	Prus Bolesław.	Antek	8
7.	» »	Na wakacyach. — Katarynka	8
8.	Orzeszkowa Eliza.	Siteczko. — Czy pamiętasz?	8
9.	» »	Babunia	8
10.	» »	Ogniwa	8
11.	» »	Panna Antonina	8
12.	» »	A... B... C...	8
13.	Sienkiewicz Henryk.	Janko muzykant. — Latarnik	6
14.	» »	Wspomnienie z Maripozy. — Jamioł. — Organista z Ponikły	8
15.	» »	Bartek zwycięzca	12
16.	Galle Henryk.	Czytanki polskie I.	30
17.	» »	Czytanki polskie II.	30
18.	Reymont Władysław.	Sąd	6
19.	» »	W porębie. — Przy robocie	8
20.	» »	Tomek Baran	12
21.	» »	Pewnego dnia	8
22.	Junosza Klemens.	Froim. — Zając	8
23.	Kraszewski J. I.	Łoktek na łożu śmierci. — Tatarzy na weselu	6
24.	» »	Upiór	10
25.	» »	Z dziennika starego dziada	6
26.	» »	Profesor Milczek — Rejent Wątróbka	—
27.	» »	W oknie. — Nauczyciele sieroty	—
28.	Rzewuski Henryk.	Kazanie konfederackie. — Ksiądz Marek (z Pam. Soplicy)	6
29.	» »	Tadeusz Rejten (z Pam. Soplicy)	6
30.	» »	Sawa. — Pan Borowski (z Pam. Soplicy)	10
31.	Sienkiewicz Henryk.	Pieszo przez Czarny Ląd (Listy z Afryki) I.	10
32.	» »	Pieszo przez Czarny Ląd (Listy z Afryki) II.	10
33.	» »	Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży)	8
34.	» »	Z puszczy amerykańskiej » »	8
35.	Prus Bolesław.	Kamizelka. — Michałko	—
36.	Dygasiński Ad.	W puszczy.	—
37.	» »	Wilk, psy i ludzie	—
38.	Junosza Klemens.	Wilki. — Wesołego	—
39.	Tetmajer Kaz.	Ksiądz Piotr	—
40.	Gomulicki W.	Chałat	—
41.	Żeromski Stef.	Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy	—

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 34.

HENRYK SIENKIEWICZ

Z PUSZCZY AMERYKAŃSKIEJ

LISTY Z PODRÓŻY

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER i SPÓŁKA
1907

...sława Deptuły, miasto Libawa
...6 czerwca 1913 roku, kupiona ...
...kosztowała 10 kop.
...syn J. Deptuły Sz. S. Dept.

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I.

Rozpoczęło się więc dla mnie w *canionie *)* górskim życie leśne, napozór jednostajne, a jednak nie pozbawione wrażeń. Wstawałem codziennie, gdy na niebie było jeszcze szaro, i schodziłem do wąwozu, w którym zwykle zastawałem już rozniecone ognisko i skwatera gotującego śniadanie. Przy śniadaniu wątku do rozmowy dostarczyły nam wypadki nocy ubiegłej. Więc czasem zdarzały się szkody wyrządzone przez szopy w pasiece; czasem znajdowaliśmy ślady jakich większych zwierząt w pobliżu, a wtedy układaliśmy na nie polowanie i zasadzki; to znów rozmawialiśmy o zbliżającej się porze dżdżystej i potrzebie porobienia tych zapasów, które nie mogły być porobione gdzieindziej, jak w mieście, a które należało porobić wcześnie, albowiem w czasie wezbrania potoków i Santa-Ana Riwer, drogi między miastem a canionami są poprzecinane.

---

9 Canion—górski wąwóz o wielce stromych zboczach.

Po śniadaniu, kończącem się zawsze przed wschodem słońca, skwater chwytał za topór i zabierał się do budowy chaty, ja zaś zarzucałem na plecy karabin i udawałem się ku jelenim ścieżkom. Bywały dnie, że wracałem z próżnemi rękoma, co zdarzało się zwłaszcza wówczas, gdy nie zachowałem należytej ostrożności; częściej jednak przynosiłem to antylopę, to koziorożca. Mięso tych zwierząt krajaliśmy na cienkie płatki i wędziliśmy w dymie, lub też porozwieszawszy na sznurze, suszyliśmy je na słońcu. O godzinie dziesiątej kładliśmy się obaj koło potoku na posłaniu z mchów i do godziny dwunastej odprawialiśmy siestę; o tej porze dnia bowiem jest tak gorąco, że nawet w zimie ani pracować, ani chodzić po górach niepodobna. Po południu, gdy wiatr wiejący stale codzień od oceanu Spokojnego, ochłodził powietrze, brałem znów strzelbę, ale już nie karabin, jeno zwyczajną do szrutu dwururkę, i szedłem strzelać ptactwo.

Zabijałem bażanty, przesiadujące zwyczajnie w kaktusach i uciekające za zbliżeniem się Strzelca piechotą, jakoteż i wielkie górskie kuropatwy, których miliony żyją na stokach i przy strumieniach. Podczas tych wycieczek spotykałem dość często grzechotniki. Płazy te lubią wyczołgiwać się na dobrze oświecone kamienie i wygrzewać się na słońcu. Zwykle uciekały, ujrzawszy mnie zdaleka, niekiedy jednak przychodziło mi staczać walkę. Pewnego razu, wyszedłszy świtaniem, spostrzegłem na samej drodze węża. Myślałem, że płaz ustąpi mi z drogi, jak się to zwykle zdarza; ale on wyprostował się do wpół ciała i zagiąwszy głowę,

począł syczeć. Mogłem mu się wtedy dobrze przypatrzeć. Sam koniec ogona jego, podniesiony w górę, poruszał się na prawo i na lewo tak szybko, że pojedyńcze drgania grzechotek zlewały się w jeden dosyś wysoki ton. Wąż widocznie rnusiał być albo czemś rozdrażniony, albo najedzony do tego stopnia, że mu się nie chciało uciekać. Gdy jednak zachodziłem mu z boków, prostował się coraz bardziej i w miarę moich ruchów obracał głowę. Trwało to wszystko dość długo, albowiem nie widziałem w tem dla siebie żadnego niebezpieczeństwa, gdyż w ostatecznym razie łatwo mogłem uciec. Nakoniec uciąłem zapomocą *bowie knife* ‘) długi pręt laurowy i ogołociwszy go z liści, przystąpiłem bliżej. Wąż stanął wówczas jak świeca i już chciał rzucić się na mnie, gdy uderzenie pręta zabiło go na miejscu.

Odciąwszy mu ogon, naliczyłem siedmnaście dzwonków, co znaczyło, że płaz miał siedmnaście lat; zatem stary był i niebezpieczny. Od owej pory zebrałem już bardzo piękną kolekcyę ogonów, nie licząc bowiem zdobytych osobiście, dostałem ich przeszło dwadzieścia od skwaterów i Indyan. Największe z nich dochodzą do jedenastu grzechotek, chociaż często zdarzają się węże daleko starsze. W San-Francisco np. w Wood-wards-garden widziałem węża o czterdziestu dzwonkach w ogonie.

Wracając do popołudniowych polowań na ptactwo — łupy z nich bywały prawie zawsze dziwnie obfite. Strzelając po całych dniach od rana

---

') Nóż myśliwski (ang.).

do wieczora, a czasem nawet i po księżycu, nabierałem coraz większej wprawy. Pomagało mi przytem w czynieniu owych postępów w sztuce myśliwskiej dziwnie szybkie doskonalenie się zmysłów wzroku i słuchu. Były wprawdzie wyborne po temu warunki hygieniczne. W Warszawie pisywałem czasem po nocach do godziny trzeciej i czwartej rano: tu chodziłem spać o zachodzie słońca — wstawałem o świcie. Ale główna przyczyna owego doskonalenia się zmysłów leżała w samem tem życiu dzikiem i leśnem. Konieczność ciągłego badania wzrokiem okolicy, wpatrywanie się w gęstwiny leśne, w mroczne rozpadliny skał, natężona uwaga i dokładność, z jaką to czynić należy: oto prawdziwa gimnastyka, z pomocą której zmysł po kilku miesiącach wzmacnia się i wyostrza, jak brzytwa.

Jest to rzecz wprawy. Toż samo należy rozumieć i o słuchu. W górach, o ile noce bywają hałaśliwe, o tyle w dzień, zwłaszcza w godziny upału, w których milknie nawet i ptactwo, puszcza jest tak cicha, jak grób. Słuch przyzwyczajony do tej ciszy niezmąconej ani hałasem i gwarem ludzkim, ani głosami stworzeń, staje się w końcu tak delikatny i wrażliwy, jak słuch więźnia pędzącego życie w milczącej celi. Nasłuchiwanie rozważne na polowaniach i samotność ćwiczą go jeszcze bardziej. Dochodzisz w końcu do tego, że według słów Mickiewicza, słyszysz: »jako się motyl kołysze na trawie, jako wąż ślizką piersią dotyka się zioła». Nieraz, gdym siedział i pisał w zaczętej chacie, a Dżak pracował o kilkaset yardów dalej w pa-

rowie, słyszałem jak mówił do psa, a słyszałem z taką dokładnością, że mogłem powtórzyć każde słowo. Wiedziałem również, kiedy wracał do domu a kiedy odchodził dalej w puszczę. Pomagała zapewne do tego i naturalna akustyka skał, która sprawia, że wystrzał karabinowy, odrzucany przez jedną skałę drugiej, huczy tu jak grzmot i powtarza się kilkakrotnem echem, nim wreszcie rozbity o złamy, wyrwie się z parowów i uleci na bory i lasy.

Owóż więc strzelanina zabierała mi większą część dnia, ale do zwykłych zajęć moich należało i pisanie. Jakaś nieprzezwyciężona siła zmuszała mnie ustawicznie, abym dzielił się z czytelnikami tą sielanką górską, tak oryginalną, że mnie samemu zdawała się urojeniem i jakby snem jakimś, a tak rzadko trafiającą się ludziom mego zawodu, i tak zdrową, że była mi uspokojeniem wielkiem po życiu w mieście i niby początkiem drugiej młodości, zanim minęła pierwsza.

Łatwiej jednak było chcieć pisać, niż przywieść ono życzenie do skutku. Pomijając, że zesztywniałe i pokaleczone częstokroć o skały moje palce nie chciały utrzymać pióra — były i inne trudności. Przybory do pisania wożę zawsze ze sobą, miałem je tedy i wówczas w jukach; ale zato Dżak nie miał ani stołu, ani krzesła, ani żadnych podobnych rzeczy, które nam wydają się czemś niezbędnem, a na które skwaterowie patrzą, jako na zbytkowne i niepotrzebne zniewieściałego życia wymysły. Dżak siadał na kamieniu w parowie, jadał na kamieniu w parowie, a na noc kładł

się na mchu pod namiotem. Prawdopodobnem jest, że gdyby nawet i miał krzesła, nie używałby ich nigdy. Mówił wprawdzie, że wykończywszy dom, pragnie się urządzić inacze j, ale nie . zaręczam, czy w tych zamiarach stoły i stołki grały jakową rolę.

Musiałem więc pomyśleć o urządzeniu sobie wygodnej pracowni, ile że niewygoda nie pozwala zebrać myśli, skupić się i oddać wyłącznie pisaniu. Z próżnego szafkowego ula udało mi się, z pomocą tylko siekiery urządzić pyszny stół, który miał nawet i szufladę, chroniącą papier od zamoknięcia w czasie rosy nocnej, z robotą zaś krzeseł poszedłem za wzorem Meksykanów. Jeszcze mieszkając w Anaheim, zwiedzałem tak zwane estanszye, czyli osady pasterskie. Osady takie stoją na gołym stepie, składają się zaś z szałasu, byłejak skleconego z desek, a często i bez dachu — i z ogromnego ogrodzenia, czyli koralu, mogącego w sobie pomieścić kilkaset sztuk bydła, które dniem pasie się w stepie. Meksykanie i Metysowie, zamieszkali w osadach, żyją prawie dziko. W dzień hulają konno za bydłem po stepach, wieczorem siedzą w szałasach wokół ogniska z łodyg kukurydzowych i grają w karty, kłócą się przy tem, bijąc i pijąc. Stołów i stołków nie posiadają zarówno, jak i skwaterowie, całe zaś umeblowanie szałasu składa się z czerepów wołowych, poustawianych pod ścianami. Wieczorem wakerosi stawiają je koło ogniska i siadają między rogami. Tak uczyniłem i ja. Wynalazłszy w parowie kilka skieletów wołowych, wybrałem największy czerep i przyniosłem go do domu, poczem,

przywiązawszy wiązkę mchu między rogami, miałem krzesło, co się nazywa, na którem mogłem rozpierać się, jak Yoltaire w swoim fotelu.

Od tego czasu zacząłem pisywać prawie codziennie, i nim pewien wypadek, o którym wspomnę później, oderwał mnie od pracy, wykończyłem te wszystkie rzeczy, które wam posłałem. Tymczasem jednak spadlo na mnie nowe zajęcie. Dżak Harryson, czyli mój Robinson budował dom już parę miesięcy, a było rzeczą arcy prawdopodobną, że nim wykończy dach i zaciągnie go na ściany, upłynie jeszcze czas, niemały.

Byłoby to dla mnie wszystko jedno, gdyby nie to, że noce, w miarę zbliżania się jesieni, stawały się coraz chłodniejsze, nad ranem zaś padała tak obfita rosa, że wierzchni gruby koc, którym się okrywałem, bywał przemoczony, jakby po dość ulewnym deszczu. Zaczęło mi to szkodzić, jako nieprzywykłemu do sypiania pod golem niebem, a szkodziło tembardziej, że w dzień upały dochodziły do stu i więcej stopni Farenheita. Dżak ofiarował mi swój namiot, ale nie chciałem go przyjąć, raz że nie chciałem zabierać mu miejsca, a powtóre że namiot ten był tylko kawałkiem podziurawionego płótna, rozwieszonego na patykach i niedającego prawie żadnej ochrony. Pomyślałem zatem, że najlepiej będzie pomagać Dżakowi w budowie dachu; jakoż od tej pory echo powtarzało codziennie uderzenia dwóch toporów. Robota poczęła postępować bez porównania szybciej. Nie umiałem wprawdzie nigdy ciesielki, i do tej pory nie mam o niej dobrego wyobrażenia, ale pomoc dwóch choćby nie-

umiejętnych, choćby tylko siłę przedstawiających rąk, ma w tego rodzaju pracach nieoszacowaną wartość. Poprzednio np. Dżak rnusiał nosić o kilka mil angielskich po jednej cienkiej belce, obecnie nosiliśmy po dwie, a nawet i po trzy, związawszy je sznurami. Wpadłem na myśl zaprzęgania do cięższych belek mego mustanga, ale okazało się to nie praktyczne, albowiem jedyną drogą prowadzącą w głąb puszczy było łożysko potoku, miejscami tak zawalone kamieniami, a gdzieindziej znów tak głębokie, że nietylko koniowi, ale i człowiekowi groziło co chwila niebezpieczeństwo upadku. Nabyłem tego konia od Neblunga za ośm dolarów, co stanowiło dość wysoką cenę, od Indyan bowiem i od metysów można z pomocą zwłaszcza szklanki wódki, kupić i za pięć. Ale Maks wziął go z sobą w góry wcale nie na sprzedaż, tylko z grzeczności dla mnie i dlatego, aby wracając z gór, mógł zabrać do Landing towary zakupione w Anaheim. Tymczasem w chwili odjazdu Maksa, naparłem się kupić owego podjezdka. Maksowi nie bardzo to było na rękę, ale wreszcie wyrachował sobie, że pod towary może' nająć innego mustanga, bądź w Anaheim, bądź w pierwszej lepszej farmie — i ugoda przyszła do skutku.

Pokazało się jednak później, że nie zrobiłem zbyt korzystnego nabytku. Był to wprawdzie młody, bo trzyletni koń, dereszowatej maści, dość rosły i silny, ale jak większa część mustangów, dziki i do wysokiego stopnia złośliwy. Przy kulbakach meksykańskich, wyłącznie używanych w Kalifornii, a bogdaj i w całej Ameryce, ogromne drewniane

strzemiona całkiem pokryte bywają skórą, chroniącą nogi jeźdźca przed zębami konia. Jednakże, jak tylko jeździec, zapomniawszy się choć na chwilę, popuści cugle munsztuka, natychmiast stepowy biegun odwraca głowę i stara się go pochwycić gdzie może. Mój, prócz powyższych wad, miał jeszcze tę, że nie dawał do siebie dostąpić. Gdym się do niego zbliżał, chcąc go osiodłać, toczył krwawemi oczyma, stulał uszy, gryzł i kopał tak gwałtownie, że musiałem z całej siły zaciągać koło jego szyi lasso i dopiero z nawpół przyduszonym mogłem już robić, co mi się podobało. Jednakże powszechnie pierwsze tylko miesiące pożycia z koniem bywają tak przykre. Później zwierz przyzwyczaja się do jedynej istoty, która koło niego chodzi, daje mu jeść, czyści go i pilnuje. Zwolna stosunek, nie przestając być szorstkim, staje się przyjacielskim. Przez kilka pierwszych tygodni starałem się napróżno ułagodzić mego deresza; napróżno dawałem mu regularnie jęczmień, kukurydzę i koniczynę. Wyrósł, wypiękniał, ale nie przestał się płoszyć i strachać. Chwilami wpadałem już nawet w zupełne zwątpienie, czy będziemy ze sobą żyli kiedykolwiek inaczej, jak na stopie wojennej.

Tymczasem Dżak poradził mi, ażebym próbował jeszcze przyswoić go głodem. Jak powiedział tak uczyniłem. Przywiązałem umyślnie lasso krótko do drzewa, ażeby koń nie mógł się paść soczystą trawą, rosnącą zwykle pod dębami i odszedłem. W południe napoiłem go, ale nie dałem mu jeść. Wieczorem przyniosłem w blaszance trochę kukurydzy, popuściłem lasso, i stanąwszy opodal, zawo-

łałem: »pójdź!« Mustang według zwyczaju stulił uszy, szarpnął kilka razy za sznur i nie myślał się zbliżyć. Zacisnąłem sznur i odszedłem. Nazajutrz rano podobna scena. Strzygi uszami, patrzył na kukurydzę, roztwierał ku niej chrapy, ale nie przyszedł. Tymczasem trawa na małej przestrzeni, na której mógł ją szczypać, była już wyjedzona. Głód zaczął mu dokuczać coraz bardziej. W południe przyszedł już do blaszanki i jadł łapczywie. Brałem go za uszy, w których szczególniej był łechciwy, głaskałem po łysinie: nie cofał się. Odtąd przynosząc mu obrok, rozpuszczałem lasso i stawałem coraz dalej. Przychodził zawsze, a w końcu przyszło do tego, że gdym się tylko pokazał, biegł .z rżeniem ku mnie, o ile sznur na to pozwolił, wspinał się i skakał, ale już z radości, jak przywiązany na łańcuchu pies. Podczas gdy jadł,, obsypywałem go pieszczotami, o które potem sam się dopominał.

Wówczas dopiero przekonałem się, co staranna i troskliwa hodowla może z konia zrobić. Jak wszystkie mustangi, tak i ten mój miał długą wichrowatą sierć, zarosłe pęciny i najeżoną grzywę. Po miesiącu starań, gdym na noc okrywał go kocem, karmił doskonale, czyścił codziennie, szyja jego zagięła się w piękny łuk, w oczach zaświecił rozum i fantazya, grzywa stała się cienką i delikatną, sierć błyszczącą, słowem zrobił się prawie- rasowy koń, na którego potem Meksykanie i Indyanie spoglądali z nietajoną żądzą.

Ale tak. Meksykanie jak i Indyanie wcale nie zajmują się swymi końmi. Gdy Meksykanin przyjeżdża z drogi, wówczas zdejmuje kulbakę, a ko-

nia wygania na step, jak u nas na Ukrainie czynią Kozacy — i nie chce więcej o nim wiedzieć. Nigdy nie widziałem, aby Meksykanin konia czyścił lub karmił obrokiem. Koń żyje tem, co sam znajdzie- Prawda, że na wiosnę i w zimie paszy wszędzie jest obfitość; ale latem w lipcu i sierpniu, gdy słońce spali na proch trawy, a »prerya« wygląda jak popękane klepisko, konie mrą z głodu i utrzymują się przy życiu tylko obgryzaniem liści wierzb i innych drzew, rosnących przy wyschłych łożyskach strumieni. Łatwo zrozumieć, że żyjąc w powyższych warunkach, mustangi muszą być złe i dzikie. Przez większą część roku, żyjąc w stadzie, nie widują twarzy ludzkiej, a gdy czasem pojawia się jeden i drugi człowiek, to tylko po to, żeby wywijać długiem lassem nad przerażonem stadem, chwytać konie, dusić je, potem dosiadać i bóść takiemi ostrogami, jakie ongi w Europie nosili średniowieczni rycerze.

Gdyby nie ta dzika, stepowa, a w rzeczy żadna hodowla, mustangi, mając w sobie krew dawnych koni hiszpańskich, wnuków owych rumaków, które wraz -z Arabami przybyły do Hiszpanii ze Wschodu, jeszcze w 711 roku, dałyby się wyrobić w rasę piękną i szczególniej pod siodło przednią. Dowodem tego mustangi z południowego Texasu, umyślnie tam hodowane w niektórych miejscowościach, które na wyścigach biją najsłynniejsze folbluty z Kanady i dochodzą do cen bajecznych. W ogóle jednak, mustangi nie odznaczają się pięknością. Głowę zwykle miewają dużą, czoło wypukłe, sierć kudłatą i obrośnięte nogi. Celują jednak wytrwałością. Me-

ksykanie nigdy inaczej nie jeżdżą jak galopem. Jak tylko koń poczuje na sobie jeźdźca, wyrzuca przednie nogi i wpadłszy w galop, nie zmienia chodu, choćby mu przyszło biedź dwadzieścia i trzydzieści mil (angielskich) bez przestanku. Jeździec kołysze się wówczas na siodle, jak w hamaku, kręci, w galopie *»cigarittas«*[x]), śpiewa : »o *dolce amigah* [2] *)* i tylko od czasu do czasu poprawia na głowie swoje ogromne »so&rero«[s]), gdy mu je powiew wiatru zbyt z czoła zesunie.

Gdy koń nie chodzi w stadzie, ale służy ciągle jednemu człowiekowi, z czasem staje się pojętny i sprawny, co szczególniej pokazuje się przy rzucaniu lassem. Gdy jeździec wypuści przed siebie sznury, wytrawny mustang zwija piorunem młynka na miejscu i poczyna z całych sił galopować w przeciwną stronę, ściągając w ten sposób pętlicę i dusząc schwytaną zdobycz. Widziałem także u niektórych wakerosów konie tak wytresowane, że na odgłos świstawki przybiegały natychmiast w największym pędzie ze stepu. Takowe jednak rzadkie są i wysoko cenione.

Mustangi sprzedawane do miast, przyzwyczajają się do zaprzęgu, ale że zwykle zaprzęgają je zbyt młodo, wyglądają więc biednie i podobnie do naszych chłopskich koni. Najlepiej jednak chodzą w jukach, który też sposób, powszechnie w ste-

---

’) Papierosy (hiszp.).

[2]) O słodka przyjaciółko (hiszp.).

:[i]) Kapelusz (hiszp.).

pach, [do przenoszenia mniejszych ciężarów jest używany.

Mój mustang, jako juczny koń, pełnił doskonale swoją służbę. Każda kulbaka meksykańska, oprócz wysokiej kuli na przedzie, naokoło której nawija się lasso, opatrzona jest w sześć lub nawet ośm par troków, wyrobionych z niezmiernie silnego rzemienia. Otóż do troków tych, nieraz podczas dłuższych wycieczek, przywiązywałem worek z kukurydzą, z mąką, jedną małą baryłkę z wódką, drugą z winem, prócz tego z tyłu koce i karabin, razem do stu i więcej ¿[funtów ładunku, nie licząc mnie. Z takim ciężarem koń galopował po kilka mil (angielskich), jak gdyby nic, a zsiadałem z niego tylko w takich miejscach, w których obawiałem się razem z nim kark skręcić. Gdyśmy jednak z Dżakiem, urządziwszy z postronków szleje, próbowali zaprządz go do belek, począł wierzgać i rzucać się tak zapamiętale, że odprzęgłem go natychmiast w obawie, aby się nie skaleczył. Odtąd przenosiliśmy belki, krokwie i deski własnoręcznie.

Robota desek zajmowała najwięcej czasu, albowiem w braku wielkiej piły, trzeba je było obrabiać toporem, co najprzód długo trwało, a powtóre z całego pnia wyrabialiśmy tylko jedną deskę, tak ciężką i niezgrabną, że zaprawdę podobniejszą była do cokolwiek ścienionej belki, niż do deski. Gdy nakoniec skielet dachu z krokwi stanął, przybijaliśmy te deski poprzecznie długimi gwoźdźmi. We dwa tygodnie wyrobiliśmy dziesięć szerokich łat, że zaś Dżak miał ich już przeszło dwa razy tyle przygotowanych, w tydzień więc skończyliśmy z da-

chem i chata była gotowa. Spoglądaliśmy z dumą i zadowoleniem na swoje dzieło, chociaż gdyby je mierzyć mniej pobłażliwem okiem, przedstawiałoby wiele do życzenia. Dom składał się z jednej izby, mogącej pomieścić dwa posłania z mchu, kilka czerepów wołowych i moją pracownię. Drzwi zbudowaliśmy wprawdzie dość prawidłowo, z trzech krótkich desek, i przybiliśmy je na zawiasach, zakupionych wraz z innem starem żelaztwem przez Dżaka z Anaheim, ale okien szklanych nie było wcale. Dżak nie myślał nawet starać się o nie, albowiem klimat tutejszy usuwa ich potrzebę.

W dzień otwory w tylnej ścianie przepuszczały aż nadto światła, na noc zaś dla ciepła zasłanialiśmy je- roletami z grubego płótna. Mocny, choć niezgrabny i dostatecznie pochyły dach, bronił od deszczów, zatem i wszystko było jak należy, czyli »aZZ *rigt!«* [1]). Ukończywszy dom, otoczyliśmy go rowem, broniącym przystępu wężom; zaczem już nie pozostawało nic więcej, jak obsadzić go figami, pomarańczami, drzewami brzoskwiniowemi i krzakami migdałów.

Była to jednak robota na później, bo przedewszystkiem musieliśmy się zająć zgromadzeniem zapasów na porę dżdżystą. Ale tymczasem zdrowie moje poczęło cokolwiek szwankować. Ciężka i wysilona praca, na upale dochodzącym do stu stopni Farenheita, nabawiła mnie ciężkich bólów głowy; siedzenie zaś co wieczorne przy ognisku, podczas chłodnych nocy, tak silnego kataru, że podobne

---

[1]) Doskonale (ang.).

chyba przed potopem istniały. Przy tern w nocy, gdy psy szczekały zajadle, a większe jakie zwierzęta wyły w pobliżu, trzeba było wyłazić z ciepłego mchu, brać strzelbę i obchodzić z nią korali, pasiekę, czasem wystrzelić w powietrze, ale przedewszystkiem aziębiać się niemiłosiernie. Pewnej nocy, koń mój widocznie przerażony przez kujoty, począł szarpać tak silnie lassem i tak je poplątał, chcąc zerwać, że musiałem przeszło przez pół godziny rozwikływać pozaciągane węzły. Była to godzina czwarta rano, a więc czas największego chłodu.

Zmarzłem jak sasenek i cały następny dzień musiałem przeleżeć w mchu.

Gdyby to było w innym, nie tak niesłychanie zdrowym klimacie, byłbym dostał febry lub zapalenia płuc. Ale o febrach nikt tu nigdy nie słyszał, moje płuca zaś, w przeciwieństwie do serca, zapalają się bardzo trudno. Swoją drogą poczciwy Dżak cały dzień następny gotował dla mnie -»*Japan teaf<i* ’), a wieczorem przyniósł mi szklankę od-' waru z jakichś ziół, podobno nader skutecznych. Jakoż na drugi dzień było mi już lepiej, o tyle nawet lepiej, że o świcie mogłem pójść na polowanie.

Troskliwość i przyjaźń, jakie okazywał mi Dżak, zjednały mu moje serce. Dżak był to człowiek nie uczony, ale elementarnie wykształcony, jak każdy Amerykanin, a posiadający wiele przymiotów, rzadkich nawet w najwykształceńszych ludziach. Był jednak trochę posępny i małomówny. Wieczorem

---

*) Herbata japońska (ang.).

przy ognisku rozgadywał się wprawdzie; przy robocie zato w dzień nie mówiliśmy zwykle do siebie ani słowa. Taka małomówność w człowieku ze świata oznaczałaby zły i nieprzyjemny humor, ale u Harrysona było to tylko przyzwyczajenie, wynikłe z życia samotnego. Myślę nawet, że ludzi tak jednostajnego humoru, jak wogóle skwaterowie, a w szczególności Dżak, niema na kuli ziemskiej. Zmienność usposobienia bywa zwyczajnie wpływem rozdrażnionych nerwów i niestałego zdrowia, a skwaterowie nie znają co to nerwy, zdrowi zaś są jak dęby. Przytem ogólna, wrodzona amerykańskiemu ludowi męskość charakteru i zupełny brak drobiazgowości, wyłącza w skwaterach dręczenie się błahostkami i poruszanie sobie żółci za lada powodem.

Powiedziałem, że brak drobiazgowości jest cechą ogólną Amerykanów, i powtarzam jeszcze raz, że drugiego ludu, któryby tak łączył w sobie wszelkie wady i przymioty prawdziwie męskiej natury, niema na świecie. Amerykanin nie posiada ruchliwości francuskiej, nie jest zapewne zdolny do uczuć tak delikatnych i poruszeń duszy tak subtelnych, jak np. Francuz lub Polak. Yankes bierze rzeczy z gruba: szczegóły, drobnostki i małostki nie istnieją dla niego. We wszystkiem jest to twardy mąż. Umie kochać, ale nie kwilić; umie nienawidzieć, ale nie kąsać milczkiem. Plotkami, babską gadatliwością, haftowaniem skandalicznych nowinek na kanwie czci ludzkiej brzydzi się. Gdy nienawidzi, burzy, ale nie podkopuje; gdy pracuje — wióry lecą; gdy wydaje pieniądze, rzuca dwudziesto-dolarówki,

jak liście. Nie rozumie co to oszczędzać centy. Gdy się wzbogaca, robi miliony—bankrutuje, także na miliony. Szanuje kobietę, jako najwyższy dar Boży. Często daje się jej za nos wodzić, właśnie dlatego, że nie jest drobiazgowy i że patrzy na nią, jak rozkochany lew. Nakoniec, kocha swoje *Unajted Stet* (United States) *), jest z nich, pyszny, dumny, i gdy Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie, nie zamyśla się, nie ogląda, ale zdejmuje swój *Kentucky rifle*[2]) z kołka, ryczy jak buhaj, a staje jak jeden mąż.

Komu taka charakterystyka wyda się przesadzoną lub zbyt ogólną, temu powiem, że nie szukałem i nie znalazłem jej w wielkich miastach, gdzie wszystkie piersi przykrawają się na »jednaką miarę krawca«; ale tam, gdzie należy szukać prawdziwej Ameryki, tam, gdzie leży jej moc, jej zdrowie i jej przyszłość— to jest w małych osadach wiejskich, farmach licznych jak piasek w morzu, na pograniczach, na pobrzeżach, w górach, między ludnością miernie bogatą, a rojną, ząbiegłą i bujną. O! trudno mi nawet wypowiedzieć, jaki to młody, orli i jak pełen kipiących sił wewnętrznych jest naród — i jakbym chętnie przysłał tu po zdrowie pewne znajome mi społeczeństwo, w którem dobro społeczne jest zdawkową monetą... bez kursu, w którem wszystko zmalało, energia i praca jest frazesem, mężczyźni chorują na nerwy i bezkrwistość, a za to szermują językami, przędą i noszą

*) Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (ang.).

[2]) Strzelba kentucka (ang.).

swoim damom świeżo wyszłe z pieca plugawej opinii plotki.

Co do skwaterów, to są wybitne, może zbyt wybitne nawet, ale doskonałe typy, uosabiające charakter całego narodu. Osobiście jednak, mimo szorstkich pozorów, zwłaszcza skwaterowie osadnicy, są to ludzie po większej części prawi, a bardzo łagodni; albowiem żyjąc samotnie, nie doznają rozczarowań i zwątpień, zaostrzających charakter. Taką łagodność posiadał i Dżak. Temperament jego był dość chłodny, a wrodzoną mu energię, która sama z siebie mogła kipieć, pochłaniała praca. Przytem, lubo z natury mało był skłonny do rozmyślań, jednakże przez życie godne prawdziwie Robinsona wyrobiło się w nim to, co wyrabia się zwykle w samotnikach, to jest przyzwyczajenie ciągłego patrzenia na siebie i rozważania siebie. W naszych poufnych wieczornych gawędkach przy ognisku powiedział mi, iż mu się nieraz zdaje, jakoby było dwóch Dżaków: jeden, który buduje dom, rąbie drwa, gotuje jedzenie w parowie; a drugi, który nie robi nic, tylko przypatruje się pierwszemu. Powiedział to bardzo poprostu, przeplatając opowiadanie ustawicznymi wykrzykami: *by God! by God!*[1]) musiałem nawet pomagać do narodzenia się tej myśli ale i tego było dosyć dla wyrobienia w tym charakterze, pewnej, niby fdozoficznej łagodności. Jeżeli, przypuszczam, Dżak zewnętrzny rozgniewał się na jakiego kujotę lub szopa i miał ochotę wybuchnąć — Dżak wewnętrzny spoglądał na niego

---

[x]) Dla Boga! (ang.).

spoko jnem okiem, uśmiechał się z politowaniem, a może i mówił: »wstydź się!« — i pod temi słowy wszelka myśl przekroczenia zwykłych granic postępowania gasła, jak płomień świecy pod podmuchem wiatru.

Bywa jednakże, że człowiek żyjący w samotności rozmyśla nietylko za siebie, ale i za otaczającą go przyrodę. Próbowałem dowiedzieć się: zadawałli sobie Dżak pytanie, czy jest i jaka jest myśl w tych ogromnych skałach przerzynających skłon błękitu, w tych strumieniach narzuconych srebrną siatką na górskie rozłogi, w drzewach, w zaroślach, w świecie zwierzęcym, a wreszcie w słońcu i gwiazdach? Chciałem przekonać się: istniałoli w nim poczucie ducha natury, lub jaki pół-wid jedno-jedynej zasady wszechbytu? Nieraz zdarzało mi się czytać o takich prostakach filozofach. Takim np. był Giliat w »Pracownikach morza«, który zaludniał w myślach powietrze niewidzialnym światem zwierzęcym, a z całą naturą tak się zjednoczył, że pokochała go i otworzyła mu swe tajniki. Ale z żalem wyznać muszę, że w Dżaku nie odkryłem nic podobnego. Jak każdy leśnik, tak i on znał swoje otoczenie, wiedział kiedy niektóre krzewy otrząsają dawne liście, aby się ubrać w nowe; znał własności lecznicze ziół i drzew; rozumiał mowę gór, gdy przysłaniając się wieczornym tumanem, zwiastowały deszcz nazajutrz rano — słowem: widział objawy i czytał je jak drukowane słowa w książce, ale żadne: »dlaczego?« nie przychodziło mu, jak głupcowi Heinego, do głowy. Skoro raz spróbowałem o tych rzeczach z nim rozmawiać, odpo-

wiedział mi słowami biblii: że Pan Bóg stworzył świat, aby człowiek miał gdzie żyć i z czego korzystać.

Oczywiście, że taki pogląd, obierający jako punkt wyjścia człowieka, wyłączał wszelkie inne dociekania. Dżak był poprostu pobożny człowiek, tak zresztą, jak prawie wszyscy skwaterowie-osadnicy. Stanowiło to nawet poetyczną jego stronę. Wieczorem, gdy ognisko dogasało w parowie, odchodził zawsze trochę w górę pomiędzy kamienie, i odkrywszy głowę, wznosił oczy ku niebu i poczynał mówić pacierz. Wydawał mi się wówczas poetycznym bardzo, tą majestatyczną poezyą siły, korzącej się przed siłą jeszcze wyższą. Promienie księżyca padały srebrem na jego energiczną, brodatą twarz, o rysach jakoby wykutych z kamienia. Myślałem czasem, że żyję w pierwszych czasach chrześcijaństwa i że widzę przed sobą jakiego barbarzyńcę Cymbra, kładącego swą twardą duszę pod nogi Bogu. Obce dla ucha mego słowa modlitwy, utwierdzały mnie jeszcze bardziej w tem złudzeniu: *Our Father, who are in heaven, hallowen be thy name* (Ojcze nasz etc.), mówił patrząc w gwiazdy Dżak... Potem ucinał głos, jak zakonnik czytający z brewiarza; a potem znów uszu moich dolatywał oderwany uroczysty frazes: *Give lis this day our daily bread!*[1]). Modlitwa nie trwała zwykle długo, ale jeśli w głębiach niebieskich słucha jakie ucho głosów z ziemi, to musiało słyszeć ten głos z pustyni.

---

*) Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj (ang.).

' Po niejakim czasie wspólnego pożycia zaproponował mi Dżak, abym z nim został na zawsze.

— Ludzie po miastach mają daleko więcej kłopotów— mówił do mnie — a tu jest spokojnie. Dochowamy się pszczół, ile sami będziemy chcieli; wytniemy dwa razy tyle puszczy, zasiejemy jęczmień i kukurydzę, zasiejemy tytuń, chatę obsadzimy pomarańczami, figami i krzewami białych migdałów. Przyjdzie czas, że ludzie tu osiędą, ziemia zacznie mieć cenę, a wówczas, gdy mnie już nie będzie, zostaniesz właścicielem mego kleniu i swojego, co razem wziąwszy, utworzy taką farmę, jakiej, *by God! by God!* niema od Oceanu aż do suchego jeziora. W lesie żyje się spokojnie — zostań.

Była jedna mała chwila, w której ta pokusa uśmiechnęła mi się i oczarowała mnie, jak leśna Dziwożona. Nie nęciło mnie przyszłe dziedziczenie ziemi Dżaka. Dżak nie darowywał mi nic. Kraj tam wokoło pusty, ziemia niczyja, mogłem więc tak jak każdy brać jej więcej, niżbym zdołał obrobić. Alem znajdował urok w tej sielance i w życiu z naturą, i w tym porcie tak cichym, że żadne burze nad nim nie wieją. Jednakże po niejakim czasie, ponęta zbladła. 'Nieznane mi jeszcze morza, lądy i ludy, szlachetny zaiVód podróżnika, życie, jego walki, klęski, zwycięstwa i powaby, wreszcie przyszła chwila powrotu, w której strząsnę z obuwia obcy pył u progu ojczyzny: wszystko to przemówiło daleko silniej: — więc powiedziałem Dżakowi,

że jak ptakiem przyleciałem w te góry, tak ptakiem z nich odlecę.

II.

Było to jakoś w drugiej połowie października. Około godziny dwunastej w południe, taka cisza osiadła na okolicy, że góry, skały i puszcze zdawały się zaklętym snem ujęte. Żaden liść nie poruszał się na drzewie. Pisząc w chacie, słyszałem jak dojrzałe żołędzie czarnych dębów urywały się z szypułek i, szeleszcząc po liściach, uderzały o ziemię. Upał był nieznośny, powietrze w domku stało się tak duszne, że po małej chwili, nie mogąc pisać, złożyłem pióro. Serce i tętna w skroniach biły mi przyśpieszonym ruchem. Nie rozumiałem, co się to dzieje: czy ja jestem chory, czy też w naturze ma zdarzyć się coś niezwykłego. Chci&łem spytać o to Dżaka, ale przed godziną poszedł się był kąpać do potoku i nie wrócił jeszcze do chaty: więc położyłem się na mchu i począłem obcierać pot, który obficie występował mi na czoło.

Tymczasem stawało się coraz duszniej. Nie mogłem już wątpić, że to na mnie nachodzi jakaś choroba, gdy nagle usłyszałem zdała ciężki chód Harrysona. Po chwili wszedł do chaty: policzki jego były zarumienione, ale oczy jakoby przygasłe, a czoło niemniej zroszone potem od mojego.

— Co to się z nami dzieje, Dżak? — spytałem go.

— Santa-Ana-wind! — odrzekł.

Wiedziałem już, co to znaczy. Czytelnik, spojrzawszy na dokładną kartę Kalifornii, z łatwością dostrzeże dwa równoległe prawie łańcuchy gór: Santa-Ana i San-Bernardino. Mniejsze i niższe pasmo Santa-Ana ciągnie się bliżej oceanu, poważne zaś Bernardyny wznoszą się w głębi kraju, stanowiąc jakoby kość pacierzową jego południowej części.

Owoż za temi górami, państwo Kalifornia ciągnie się jeszcze daleko na wschód, aż do rzeki Colorado, stanowiącej granicę od Arizony. Cała ta część, jest to jedna, równa, piaszczysta pustynia, gdzieniegdzie tylko powzdymana w sypkie wzgórza, gdzieniegdzie poprzerywana bezimiennemi jeziorami, w których przez większą część roku wody brakuje. Największe z tych jezior nosi nawet nazwę: Dry-Lake, co znaczy Suche jezioro. Po deszczach zimowych pustynia na krótki czas zmienia się w preryę umajoną cudną zielonością, ale to jeden tylko krótki uśmiech natury na tern wielkiem cmentarzysku piaszczystych kurhanów. Bzeka Colorado, stanowiąca granicę od Arizony, nie jest wcale granicą pustyni. Wprawdzie brzegi rzeki żyzne, urodzajne i zarośnięte, ciągną się jakby zieloną wstęgą, aż do zatoki Trzech-Króli, ale za rzeką pustynia znowu się rozpoczyna i obejmując większą część Arizony, rozlega się na wschód, aż do niezliczonych pasm gór, zawalających środek tego Stanu, na południe zaś aż do meksykańskiej Sonory.

Przy rzece Gila, wpadającej do Colorado, pustynia staje się najgłuchszą. Część ta nosi nawet nazwę Gila-Desert. Ruchome jej piaski nigdy nie

pokrywają się zielonością; niema tam żadnych osad, ani ludzi białych, ani Indyan. W części pustyni kalifornijskiej (między St-Bernardino a Colorado) na wiosnę, gdy jeziora pełne są wody, a trawa pokrywa wklęsłości gruntu, głusza ustępuje gwarowi życia. Czasem stado bawołów, zabłąkanych aż do gór Arizońskich, rozbija piersiami trawę, a za niem pędzą skurczeni na koniach jeźdźcy indyjscy; czasem metysowie. gnają stada mustangów, czasem kupcy-wółarze ciągną do wschodnich osad pasterskich; czasem zabłąka się traper z Prescot lub Tuscon; tak dzieje się w za-bernardyńskiej części pusty, ale Gila zawsze jest cicha, głucha, martwa i złowroga.

A taką jak Gila, staje się po upływie wiosny cała pustynia. Nazwałem ją niepróżno złowrogą, wszystko bowiem co stamtąd przychodzi, jest jakby tchnieniem śmierci. W tych to gorących piaskach, szarańcza składa swoje jaja na zimę, a wiosną ciągnie w postaci chmur na cudne doliny Kalifornii, zostawiając po sobie bezlistne drzewa i bezwstydnie gołą ziemię; stamtąd nareszcie, od Gila i suchych jezior wieje wiatr, znany w Anahej niskiej dolinie: Santa-Ana-wind.

Powinniby go raczej nazywać: Desert-wind lub Gila-wind. Są to prądy rozpalonego powietrza, z którego pustynia wyssała wszelką świeżość i wilgoć, a przesyciła natomiast elektrycznością. Czasem wiatr tam wieje także z południa, od strony »Lower-California« czyli od strony meksykańskiej, półwyspowej Kalifornii, będącej również pustynią. Częściej jednak ciągnie ze wschódn od Gila. Jest on

tem samem dla Kalifornii, czem Sirocco dla Sycylii, Solano dla Hiszpanii, a Samum dla Arabii. Mniej zapewne od tamtych niebezpieczny i rzadszy, bo wieje tylko jesienią i w zimie, rozstraja jednakże nerwy ludzkie, wysusza muskuły, skręca liście na drzewach i przejmuje strachem zwierzęta. GdyDżak oznajmił mi jego blizkie przybycie, wyszedłem natychmiast z chaty. W całej naturze znać było, mimo ciszy, jakąś niespokojność, a i sama cisza wydała mi się martwotą, nie spoczynkiem. Powietrze straciło swoją przeźroczystość. Niby jakiś pył, niby dym unosił się w atmosferze. Światło słoneczne, przechodząc przez ów tuman, straciło swoją pyszną, jarzącą pozłocistość, a świeciło chorobliwie, rdzawo, smutno. Sam krąg słoneczny, pozbawiony promiennych włosów, przesłonięty a czerwonawy, pozwalał oku bezkarnie patrzeć na się, jakoby przez zakopcone szkło. Myślałem, że to może dym rozszedł się po powietrzu.

— Dżakl — spytałem — wszak to Indyanie musieli gdzieś zapalić lasy.

— Nie! — odpowiedział Dżak — ja myślę, że to pył z pustyni.

Ale Dżak mylił się, bo przecież pył nie mógł przyjść przed wiatrem. Na pytanie jednak, czy tak zawsze bywa, odpowiedział mi, że zawsze. Tymczasem dęby zadrżały nagle, zaszeleściły liśćmi i posypały deszczem żołędzi. Następnie Dżak poradził mi, abym rozpuścił węzły lasso, na którym uwiązany był mustang, albowiem zwierzę, szarpiąc się w czasie wichru, mogłoby się zadusić. Gdym się do niego zbliżył, ujrzałem, iż sierć była na nim poszer-

szeniała, głowę miał spuszczoną, nozdrza przy ziemi. Rozluźniłem pętlicę aż nadto. Wracając, ujrzałem tłumy rozmaitego ptactwa, dążącego do skłonów gór i z parowów ku puszczy: więc stada różowych synogarlic, kuropatw zwyczajnych, kuropatw górskich, błękitnych płaszczów, przedrzeźniaczów, czarnych dzięciołów z kanarkową piersią i szkarłatną głową. Szare bażanty smyrgały na piechotę tak niedaleko naszej chaty, że można je było z okien strzelać. Nad lasem krążyły orły i kurki, ale zapadały co chwila w gęstwinę, siadając zapewne na dobrze okrytych liściem gałęziach. Wreszcie ucichło wszystko: tuman zgęstniał, światło słoneczne stało się jeszcze bardziej gorączkowe, a potem uderzył pierwszy powiew.

Zdawało mi się, że jakieś potworne płuca chuchnęły nagle na mnie gorącym oddechem. Obaj z Dżakiem schroniliśmy się natychmiast do chaty i pozasłaniawszy kocami okna, położyliśmy się na mchu. Ale w chacie zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Dostałem lekkiego zawrotu głowy; krew jakby ołowiem biła mi w żyłach. Próbowałem czytać i nie mogłem. Było mi duszno. Elektryczność przesycająca powietrze podziałała tak na moje nerwy, że miałem ochotę pokłócić się z Dżakiem. Próbowałem pić, ale woda stojąca w blaszance w kącie chaty wydała mi się obrzydliwą; chciałem nakoniec palić: tytuń po kwadransie wiatru wysechł do tego stopnia, że rozsypywał się w proch w moich palcach.

Dżak, przywykły już do tego wiatru, znosił go daleko lepiej, a mnie tymczasem coraz było tru-

dniej. Pojedyncze uderzenia powiewów zmieniły się w trwały huragan. Puszcza gięła się, dęby łopotały gałęziami; w powietrzu zaś unosiło się takie mnóstwo liści i piasku, że niepodobna było nic dojrzeć. Przeklęty ów wiatr zmienił się w końcu po prostu w żar buchający jakby z rozpalonego pieca i przepełniony czadem. Dżak przyniósł mi świeżej wody ze strumienia, którą piłem łapczywie, ale gdy nadeszła pora posiłku, jeść nic nie mogłem. Zresztą ani w południe, ani na wieczór nie paliliśmy w parowie ognia, albowiem wiatr rozwiałby był ognisko na cztery strony świata, a co gorzej mógł ponieść skry na puszczę i spowodować pożar lasu.

W nocy nie mogłem zmrużyć oka. Na drugi dzień wiatr, zamiast uciszyć się, wiał jeszcze gwałtowniej. Drzewa trzeszczały, a połamane gałęzie waliły się w. potok. Przez cały ten czas nie było ani chmurki na niebie. Wychodziłem z chałupy tylko po to, aby koniowi dać jeść. Cierpiałem nieznośne męki. Ale na trzeci dzień, świtaniem, a może jeszcze w nocy ucichło wszystko.

Wyszedłszy z chaty, odetchnąłem głęboko. Powietrze było chłodne, ożywcze, błękit niebieski czysty. Łagodny wietrzyk pociągał od oceanu. Na wschodzie płoniła się, jak dziewczyna, różana zorza poranna. Uśmiechało się wszystko naokół. Spojrzałem po okolicy i... zakląłem, jak pierwszy lepszy majtek z Landing'.

Nie było mojego konia.

Przy drzewie zwieszało się smutne lasso. Koń

widocznie wysunął w czasie wiatru głowę ze zbyt obszernej pętlicy i uciekł.

III.

Złożyliśmy z Harrysonem wielką radę wojenną.

Koń, wysunąwszy się z pętlicy, mógł zejść tylko do parowu, bo innej drogi nie było. Natomiast parowem mógł udać się albo na wschód ku Bernardynom, w którym to razie nie trudnoby go było odnaleźć, albowiem potok w górze jest nie do przebycia, albo na zachód ku Anaheim.

W tym ostatnim wypadku sprawa byłaby trudniejszą z powodu, iż potok w miarę spadku rozszerza się, a canion staje się coraz obfitszy w obszerne, pokryte lasem doliny. Myślałem także przetrząsnąć puszczę, wśród której stała nasza chata, ale Dżak upewnił mnie, że tak wielkie zwierzę jak koń, nigdy nie zdołałoby przeniknąć w gęstwinę równie zbitą i poplątaną lianami. Jakoż tak było w istocie.

Wogóle przychodziło wątpić, czy opłacało się szukać konia. W nocy mogły go zjeść drapieżne zwierzęta, bądź kuguary, bądź ostrowidze. Mogli go także skraść Meksykanie. Szukanina wymagała wielu trudów, a pod pewnym względem była nawet niebezpieczna. Ale przywiązałem się już do mego wierzchowca i postanowiłem, nie zważając na nic, pójść w jego ślady.

Zresztą, po skończeniu chaty, nie mieliśmy

z Dżakiem wiele do roboty, zaraz więc po brekfeście zajęliśmy się przygotowaniem do wyprawy. Niewiadomo było jak ona długo potrwa, każdy z nas więc wziął mały zapasik sucharów i suszonego mięsa, a oprócz tego każdy uzbroił się, jak gdyby na wojnę, w karabin, rewolwer i »bowie-knife«, nie licząc lassa, które miało służyć do odprowadzenia konia.

Tak uzbrojeni, poszliśmy przedewszystkiem pod drzewo, aby odnaleźć choć jakie takie ślady.
1 Na trawie było ich bardzo wiele: wyrobiła się z nich jakby ścieżka, ale była to tylko ścieżka, którą prowadzałem konia do wody. Oko moje nie mogło nic z niej wyczytać, Dżak jednakże położył się na trawie i popatrzywszy na nią uważnie, wykrzyknął wkrótce obyczajem indyjskim:

— *Hugh!*

Znalazł, a przynajmniej utrzymywał, że znalazł świeży ślad, chociaż ja nie mogłem upatrzeć w nim różnicy od starych. Koń szedł, jakeśmy to przewidywali, do potoku. Dalsze ślady, zbaczające ze ścieżki wskazywały to wyraźnie. Koń mógł pójść w górę potoku, albo na dół ku Anaheim. Trzeba nam było się z Dżakiem rozstać.

Wybrałem kierunek ku Anaheim, bo jakkolwiek drogę tę odbyłem z Neblungiem w nocy, przecie pamiętałem ją cokolwiek. Świsnąłem na psa i zapaliwszy fajkę, poszedłem. Ranek po wietrze był cudowny. Powiew od strony oceanu niósł ze sobą wilgoć i chłód. Ptaki śpiewały po obu stronach parowu, jak najęte. W miejscach szerszych, gdzie korytarz skalny roztwierał się, ustępując miejsca do-

linom, przystępne brzegi strumienia wrzały życiem zwierzęcem. Ptaki piły wodę. Czarne wiewiórki ziemne siedziały na tylnych łapkach, chrupiąc orzeszki laurowe i poruszając wąsikami. Pies mój szczekał z radości, a echo niosło daleko szczekanie, nadając mu dziwnie potężny rozgłos. Była to chwila poranna, chwila tej radości i rozbudzenia się natury, w której drzewa, i kwiaty, i ptaki, i wszystko co żyje zdaje się wołać: »evoe!« radujmy się i kochajmy! W takiej chwili, starcowi nawet przechodzi ogień życia przez ziębłe kości, a u młodego aż kipi dusza i prawie skrzydła wyrastają mu u ramion.

Mniej więcej w takiem byłem usposobieniu. Coraz nowe doliny, nowe kształty skał, nowe drzewa migały mi przed oczyma. Cała droga, ponieważ poprzednio przebyłem ją w nocy, wydała mi się nową i nieznaną. Jedna szczególniej miejscowość została mi w pamięci. Dolina ta, obejmująca z jakie dwie mile kwadratowe (angielskie), nie była zarośnięta tak zbitą i poplątaną puszczą, jak inne, Był to poprostu ogród wersalski na pustyni, strojny w tak cudowne bukiety drzew i krzewów, jakby je układała ręka ogrodnika-artysty. Ciemne, śliczne dąbrowy i małe rozrzucone wdzięczne gaiki platanów pokrywały większą część przestrzeni; laury układały się w regularne klomby: pojedyncze drzewa tworzyły jakby aleje, których końca nie mogłem dojrzeć. Niepodobna było prawie uwierzyć, aby to natura układała wszystko tak misternie i foremnie. Środek doliny, lekko zaklęsły, pokryty był trawą, o zieloności jasnej i świeżej, zdradzającej wilgoć

gruntu. Wysoko rosnące tam krzewy znikały zupełnie dla oka pod skrętami dzikiego winogradu, dochodzącego do olbrzymich rozmiarów. Złudzenie, że są to poprostu sztuczne altany, było tak silne, że pierzchło dopiero wówczas, gdym, zbliżywszy się do jednej z nich, dojrzał wyskakującego z pod liści szarego, czarno centkowanego żbika.

W żadnych górach europejskich niema nic podobnego. Natura wysiliła się tu, aby stworzyć przepyszny park z całym wymagalnym doborem barw i cieniów, z misternym układem szczegółów, z odpowiednią perspektywą i z mądrym namysłem, tak łudzącym, iż pomimowoli patrzyłem i szukałem, czy z pośród ciemnej zieloności drzewnej nie błysną mi z oddali białe marmury jakiego pałacu, ze zwierciadłami w szybach, ze strójnemi damami na gankach, z jeziorem u stóp i z łabędziami na błękitnej toni.

Ale okolica była bezludna, milcząca, a ciszę przerywało tylko brzęczenie wielkich złotych much, za któremi uganiały się ptaki. Oczarowany, szedłem bardzo wolno i zatrzymywałem się co chwila. A tymczasem słońce podniosło się wysoko i poczęło dogrzewać. Wyszukawszy wzgórek pokryty mchem, położyłem się pod cieniem dębu, zjadłem kawałek suchara z suszonem mięsem, a następnie poleciwszy straż psu usnąłem.

Spałem tak dobrze, że rozbudziłem się dopiero koło godziny czwartej. Słońce przebiegło już większą część zwykłego łuku i kłoniło 'się ku zachodowi. Poznałem, że przed nocą nie będę mógł już zajść ani do osad pasterskich/ leżących u stóp gór na

drodze ku Anaheim, ani też wrócić do chaty Dżaka, Wołałem jednak nocować bliżej osad i dlatego poszedłem naprzód. Park skończył się wkrótce, a amfiteatr czerwonych skał zacieśnił się znowu w wązką i ciemną gardziel. Przy samem wejściu do niej spotkałem jeźdźca, starego jakiegoś Meksykanina, o czarnych podobnych do końskiej grzywy włosach i złodziejskiej twarzy. Zaczęliśmy ze sobą rozmowę, wedle obyczaju meksykańskiego niezmiernie grzeczną, tytułując się jak można najczęściej *usted*[x]) i *caballero*[2]). Wypytywałem się o konia, na co *caballero*, mający, mówiąc nawiasem, minę ostatniego rzezimieszka, odpowiedział, że konia nie widział, ale że widział ślady szarego niedźwiedzia, czemu zresztą ani na chwilę nie uwierzyłem. Poczem z prawdziwie meksykańską uprzejmością, przepraszając za śmiałość *de hacer cuestion* [8]), począł wypytywać: co robię w górach, czy mam tu jakich znajomych i gdzie mieszkam. Może chciał się wywiedzieć, czy będzie mógł bezkarnie rzucić na mnie lasso, w chwili gdy się od niego odwrócę, aby zrabować moją broń. Ale ja także dosyć już znałem Meksykanów, i mimo wszelkich *usted*, trzymając palec na cynglu, gotów byłem roztłuc na kawałki czaszkę drapichrustowi, skorobym tylko spostrzegł, że poczyna odwiązywać sznury. Nie bałem się go wcale i rozmawiałem z nim po prostu drwiąco, co go nawet mieszało,

---

*) Wy (hiszp.).

[2]) Pan (hiszp.).

[8]) Że czyni zapytania (hiszp.).

a byłem jednak zecydowany nie pierwej pójść w drogę, aż uprzejmy rycerz oddali się na kilka rzutów lasso. Ale jak tylko powiedziałem, że mieszkam u Harrysona, ostrożność stała się zbyteczną. Caballero wpadł w zachwycenie: powiedział, że zna Dżaka, że jest to znakomity *(considerable)*, a nawet wielki *(grande)* człowiek, a jego przyjaciele muszą być tacy sami, poczem pojechał przed siebie. Widocznie Dżak miał w górach opinię wzbudzającą poszanowanie. Ale wogóle skłonni do rabunku meksykańscy »caballerowie« niezmiernie boją się skwaterów, z powodu ich solidarności. Za jednego zamordowanego skwatera, inni, chociażby zamieszkali bardzo daleko, ujmują się natychmiast i póty tłuką wszystkich napotkanych Indyan i Meksykanów, póki ci ostatni sami nie wydadzą winnego.

0 tej .dziwnej pod wieloma względami ludności rozpiszę się później obszernie; teraz zaś nadmienię, że winnemu nie tak łatwo tń ujść przed lynchem[1]); jeżeli bowiem łotrzykowie zabijają i rabują człowieka, to nie dlatego aby uciekać następnie na pustynię, ale aby pić i hulać w najbliższych wentach[2]), gdzie ich też zwykle straszliwy *uncle lynch* odnajduje.

Zabójstw z tych powodów bywa niewiele, jakkolwiek rozproszenie, w jakiem żyją skwaterowie, zapewnia pozorną przestępcom bezkarność. Że jednak ostrożność najlepszym jest przewodnikiem

*) Dorównywa samorządom (ang.).

ª) Wenta znaczy karczma, tienda zaś to, co nasza restauracya.

i stróżem podróżnych, nie prędzej tedy ruszyłem w dalszą drogę, aż uprzejmy caballero oddalił się na dobry wystrzał karabinowy. Potem dolatywała mnie tylko jego piosenka i wtór do niej, polegający na uderzaniu trzonkiem noża w kulę kulbaki. Uszedłem jeszcze ze cztery mile (angielskie), ale wreszcie słońce zaszło; że zaś w tym klimacie zmierzch bywa bardzo krótki, więc i noc następowała szybko. Żałosne zwiastuny ciemności, kujoty, ozwały się już raz i drugi w pokrytych lasem dolinach, pies zaczął się niepokoić, trzeba zatem było myśleć o noclegu. Korzystając z resztek światła, naciąłem cztery naręcza suchych jak pieprz krzewów, znanych pod nazwą czaporalu i czamizalu, nazbierałem suchych, połamanych przez Santa-Ana-wind gałęzi, których pełno było w łożysku potoku, i wybrawszy stosowne miejsce między kamieniami, rozniecіłem ognisko.

Przez całą noc spałem mało, bo musiałem co chwila dorzucać gałęzi, aby podtrzymać ogień. Rozmaite głosy zwierzęce dochodziły mnie, jak zwykle nocą, ale niewiele sobie z nich robiłem, mając przed sobą jasny płomień, czujnego psa i dobry karabin. Przytem kuguar i niedźwiedź, jedyne groźne zwierzęta, nie są tu liczne i nie napadają nigdy pierwsze na ludzi, nie było więc żadnego niebezpieczeństwa. Swoją drogą pies odlatywał co chwila od ogniska i niknąć w ciemnościach, ujadał głośno. Świtaniem puszcza ucichła. Wówczas usnąłem jak kamień i dopiero o godzinie dziewiątej puściłem się w dalszą drogę. Może o jakie kilkadziesiąt kroków od noclegu, spotkałem małego grzecliotnika, pełzną-

cego od jednego kamienia ku drugiemu. Grzechotka jego składała się z pięciu dzwonków. Idąc dalej, doszedłem do miejsca, w którem po obu brzegach strumienia ciągnął się pas niezmiernie delikatnego piasku, pomieszanego z żółtą miką. Raz już nad rzeką Bosumnes (Macosme), w okolicy Sacramento, oszukała mnie ta mika, albowiem spostrzegłszy całe jej zaspy, sądziłem, żem znalazł takie bogactwa, iż Rotszyldom nie pozostanie nic więcej, jak pójść do mnie na buchalterów. Patrzyłem, pamiętam, wówczas i nie wierzyłem oczom własnym: cały brzeg rzeki lśnił się i mienił, promienie słoneczne łamały się na większych blaszkach: wszędzie było złoto i złoto. Można je było furami wywozić. Szczypałem się sam, aby się przekonać czy nie śpię, i nabrawszy pełne kieszenie moich dostatków, pobiegłem do kapitana W., naszego rodaka, u którego właśnie bawiłem, aby podzielić się z nim, jako z doświadczonym górnikiem, wiadomością, wejść w spółkę i zrobić kilkadziesiąt skromnych miliardów w ciągu kilku miesięcy. Więcej sobie wcale nie życzyłem. Czytelnik domyśli się łatwo, jaką musiałem mieć minę, gdy stary górnik roześmiał się i potrząsając na ręku moim skarbem, rzekł krótko a węzłowato: »mika«. Swoją drogą powiem, że choćby podróżnik, przebiegający góry i stepy Kalifornii, był nie wiem jakim filozofem, przecie myśl, że w pierwszej lepszej szparze ziemnej, w pierwszym lepszym stosie kamieni można tu znaleźć skarby, nie opuszcza go ani na chwilę. Mimowoli poglądasz, czy czasem z łożyska jasnego strumienia lub ze szpary skalnej nie wyjrzy na ciebie po-

tężna, przedpotopowa żyła żółtego kruszcu. Co więcej, niema w tem nic niepodobnego. Na pytanie, gdzie w Kalifornii znajduje się złoto, każdy bez wahania odpowiada: wszędzie! Prawda, miejscami jest go tak mało, że przemywanie dwakroć i trzykroć przeniosłoby wartość metalu, ale, swoją drogą, weź kilkanaście fur ziemi i puść je w płóczkarnię, a żywe srebro, chwytające złoto, niezawodnie uchwyci pewną ilość jego atomów.

Ciekawy przykład owej zmory złotej, duszącej tu wszystkich, miałem niedawno przed oczyma. Pewnego razu, ja, jeden mój ziomek zegarmistrz, od niedawna osiadły w Orange, i jeden skwater, zwiedzaliśmy osadę położoną nad brzegiem niewielkiego strumienia. Po nocy spędzonej na wozie, ziomek mój poszedł się myć do strumienia. Po chwili wrócił nagle: twarz jego była wzburzona, a na głowie nie miał kapelusza.

— Co panu jest? — pytam, sądząc, że może ujrzał jakie niebezpieczne zwierzę.

— Cicho! — odpowiada, kładąc palec na usta i przerywanym ze zmęczenia głosem.

— Cóż tedy?

— Złoto!

— Gdzie?

— Pójdź pan zobaczyć.

Poszedłem, choć nie uwierzyłem w nie ani na chwilę, gdyby się bowiem tam znajdowało, mieszkańcy osady znaleźliby je oddawna. Przybywszy na brzeg, towarzysz mój ukazał mi niewielki okrągły kamień, na którego powierzchni połyskiwała żółta, metaliczna kresa. Wtedy uwierzyłem i ja

i dalej w radę, czy przypuścić do tej tajemnicy trzeciego. Stanęło, żeby przypuścić, bo człowiek był porządny, a wytrawny. Jakoż przyszedł zaraz i objaśnił nas, że owa żółta metaliczna kresa była poprostu śladem podkutych mosiężnymi ćwiekami trzewików, jakich zwykle używają farmerowie.

Podobne rozczarowania, a szczególniej z miką, zdarzają się tu codziennie, tembardziej, że jej tu wszędzie pełno. Widziałem jej mnóstwo na pobrzeżach oceanu w A-Landing, Wilmington i wielu innych miejscach. Strumienie górskie powszechnie nie bardzo w nią obfitują; tam jednak, gdzie brzeg jest piaszczysty, osadza się zawsze trochę i miki.

Ta, którą znalazłem przy strumieniu, osadzała się szczególniej w dołkach, wytłoczonych przez nogi zwierząt. Szukałem między tymi śladami śladów kopyt mego konia, ale znalazłem tylko mniej więcej zatarte wyciski racic jelenich i płytkie, ale szerokie tropy okrągłych stóp, należących zapewne do ostrowidzów. Zaczynałem wątpić, czy koń mój przechodził tędy i przez chwilę przyszła mi myśl wrócić się, ale dla pewności chciałem jeszcze zapytać o niego w osadzie pasterskiej, leżącej u stóp gór, poszedłem więc dalej. Tymczasem zaszła niespodziana okoliczność^ Oto strumień, którego biegu się trzymałem, trafiał nagle na prostopadłą skałę i rozdzielał się na dwa ramiona, tworzące z głównem korytem dokładną literę Y. Nie wiedziałem, które ramię zaprowadzi mnie teraz do podgórzy i na drogę do Anahaim. Zdawało mi się, że lewe, wybrałem więc lewe. Ale gdym uszedł ze trzy mile,

to lewe znowu rozdzieliło się na dwa. Widocznie była to sieć strumieni, które obejmowały dość znaczną przestrzeń gór, a następnie, wydostawszy się z nich, biegły przez dolinę anaheimską i dalszy step ku oceanowi. Poznałem, żem zbłądził. Wszedłem w caniony tak dzikie, milczące i głuche, iż przychodziło mi na myśl, że może noga ludzka pierwszy raz w nich postała.

Brzegi strumienia, tam gdzie nie były zaciśnięte skałami, porastały gęstym lasem. Pnące się rośliny zwieszały się aż do wody, a przerzucając się z brzegu na brzeg, tamowały mi tak drogę, że musiałem ją sobie nożem torować. Wszystko to nosiło cechę natury arcypierwotnej. Zdawało mi się nawet, iż ptaki mniej się tu boją człowieka, niż w innych canionach. Był tam jakiś spokój, którego nie umiem ani opisać, ani wyrazić; jakaś powaga i majestat przyrodzenia nie czującego się jeszcze podbitem. Jakoż wszystkie pomniejsze caniony nie są zamieszkałe i w wielu z nich prawdopodobnie nikt jeszcze nie był.

Tymczasem szedłem ciągle naprzód, niewiele troszcząc się o to, żem się zbłąkał. Wiedziałem, że każdy strumień wyprowadzi mnie koniec końcem na podgórza, a następnie na dolinę, na której leżą Anaheim, Santa-Ana, Orange i t. d. Jakoż, zaraz po południu, począłem się wydostawać z labiryntu gór. Szczyty po obu stronach strumienia stawały się niższe i niższe; korytarz skalny zmieniał się w obszerną dolinę, krajobraz otwierał się coraz szerzej. Wreszcie zatrzymałem się i spojrzałem przed siebie.

Góry skończyły się. Stałem jakoby na olbrzymim, wysokim na jakie dwieście stóp tarasie. Strumień spływał zeń po tak stromej pochyłości na dół, że tworzył prawie wodospad. U stóp tarasu widniał dom farmerski, bielejący wśród masy drzew gumowych *); tam zaczynała się dolina anaheimska a raczej step szeroki, powietrzny, przestrony, biegnący aż do brzegów oceanu.

Oparłszy się o karabin, patrzyłem nieruchomo z pół godziny na ową cudną dolinę. Na krańcu widnokręgu szarzała niby mgła, niby chmura jakaś sina, ale rozświecona purpurą zachodu. Był to »Pacyfik«, ojciec oceanów i mórz wszystkich. We wzgórzach sterczących nad tumanem poznałem wyspy Santa-Catalina i Catalina Harbor, które zwiedzałem, bawiąc jeszcze w Landing. Był zachód słońca, a nad oceanem rozlewał się drugi ocean purpury i złota na niebie. Na dolinie, ubranej w królewskie kolory, ujrzałem naprzód suche, piaszczyste a^ szerokie łożysko równoległej do gór rzeki Santa-Ana. Dalej ciemne grupy drzew oznaczały Anahem i Orange, a mniejsze grupy farmy rozrzucone po całym stepie. Wszystko to leżało u moich nóg. Patrzyłem na wioski i miasta, jak ptak z chmur. Powietrze tak było przeźroczyste, że ten ogromny szmat kraju leżał widny dla mego oka, jak na dłoni. Cisza była prawie niepokalana. Śliczny pogodny zachód zdawał się nasycać wszystko nieporównaną słodyczą i różanym spokojem. Błogosławieństwo i upokojenie wielkie unosiło się nad krajem... Wówczas

---

') Etlkaliptów.

wezbrało mi serce, a na usta wybiegła mimowoli znana smutna piosnka:

»U nas inaczej! inaczej! inaczej!«

Słońce już zaszło, gdy zapukałem do drzwi domu położonego u stóp tarasu. Pokazało się, że mieszkał w nim Mitchel, właściciel stad krowich, a dobry mój znajomy jeszcze z Anaheim. Mitchel przyjął mnie gościnnie i dał wyborne łóżko, które, po nocy spędzonej na kamieniu w górach, wydało mi się niezrównanem.

Nazajutrz, skoro świt, puściłem się z powrotem w góry.

IV.

Dżak, posłyszawszy, że się zbliżam, wyszedł naprzeciw mnie bardzo uradowany. Koń był już z powrotem. Dżak znalazł go o dziesięć mil w bok od naszego strumienia, w bocznym canionie, gdzie była osada skwaterska niejakiego Plesenta, Luizyańczyka jak i Dżak. Dżak opowiadał mi o nim, że jest to prawdziwy król gór, trzęsie bowiem wszystkimi Meksykanami, zamieszkującymi okolicę. Do wpływu takiego doszedł przez swoje bogactwa w pszczołach, trzodach, ale głównie przez żonę, rodem Meksykankę, kobietę tak rozumną, że słowa jej są wyrocznią, tak dla męża, jak i dla wszystkich czarnowłosych jej kuzynów. Dżak zaproponował mi, abvm razem z nim wybrał się do nich, na co zgo-

działem się chętnie i uważając rozmowę za skończoną, chciałem wyjść do konia. Ale Dżak widocznie miał mi jeszcze coś do powiedzenia, bo mnie zatrzymał, a potem zaczął gęsto pykać z fajki i mrugać figlarnie oczyma.

— Cóż tam jeszcze nowego, Dżak? — spytałem.

— Hm! hm! — mruknął.

— Chcecie mi jeszcze coś powiedzieć?

— Tak. Czy bardzo czujecie się zmęczeni?

— Trochę; a dlaczego?

— Bo do Plesenta trzebaby jeszcze dziś iść na noc.

— By God!

— Widzicie, sir, jest rzecz taka. U Plesenta bawi teraz przeszło piętnastu jego krewniaków, Meksykanów, a wszyscy z lassami, konno i zbrójno. Powiem wam, że wszystko to są wielkie szubrawcy (hoodlamy) i mniej szaby o nich, ale czy wiecie, dlaczego się pozjeżdżali? Oto Plesent znalazł na piasku, nad swoim strumieniem, ślad szarego niedźwiedzia, a potropiwszy go dwa dni, przekonał się, że »uncle grizzly« obrał sobie legowisko nie dalej, jak dwie mile w górę potoku.

— *Ali right* Dżak! — przerwałem pośpiesznie.

— Plesent więc wysłał zaraz do Meksykanów starego Ramona, aby się pozjeżdżali na wyprawę, co też i uczynili. Przywieźli ze sobą wina, które piją bezustanku, prócz tego grają w karty i wychwalają wzajemnie swoją odwagę, choć, by God! jak przyjdzie co do czego, będą tchórzyć niezawodnie. Stary Ramon był i u mnie, ale ja właśnie

tropiłem wtedy waszego konia. Oprócz nas, Plesent czeka jeszcze dwóch braci Shrewsburych. Jutro świtaniem mamy zacząć. Czy zgadzacie się iść ze mną?

Naturalnie nietylko zgodziłem się, alem mało nie uściskały Dżaka z radości; następnie wyczyściliśmy broń, opatrzyli wszystko jak się należy i w dwie godziny później wyruszyliśmy w drogę.

WYDAWNICTWA
GEBETHNERA I WOLFFA.

Rb. k.

Tissandier G., Męczennicy w imię nauki. Bohaterowie w imię pracy i nauki, przekład z francuskiego, z 34 rycinami. Wydanie 2-gie 1 20
Karton 150
W -oprawie ... 180

Umiński Władystaw. Podróż naokoło świata piechotą. I. W podobłocznych krainach. Z 8-ma rysunkami St. Sawiczewskiego. Karton........ 2 —
W oprawie ... 2 40

Urbanowska Z. Księżniczka, Powieść uwieńczona nagrodą konkursową im. Pauliny Kraków. Wyd. 3-cie........ 1 20
W ozdobnej oprawie' ,.. 1 80

Verne Juliusz. Czarne Indye. Powieść podróżnicza przeł. z franc, z rycinami . ... — 75

— Gwiazda południa. Powieść, przet. z franc, z rycinami . . — 75

■— Naokoło księżyca. Podróż fantastyczna. Przekład z franc, z rycinami........ — 75

— Pięć tygodni na balonie. Przygoey podróżnicze. Tłum, z franc, z rycinami........ — 75

— Piętnastoletni kapitan. Opisy podróżnicze według oryginału franc, z rycinami. 2 tomy........ 1 50

— Pięćset milionów Begumy. Powieść przeł. z franc, z rycinami — 75

— Podróż naokoło -świata w 80 dniach. Przygody podróżnicze według oryginału z franc, z rycinami........ — 75

— Pustynia lodowa. Opis podróży do bieguna północnego, według oryginału franc, z rycinami .... — 75

— Przygody na okręcie »Chancellor«. Opowiadanie podróżnicze, przekład z franc, z rycinami .... — 75

— Wyspa tajemnicza. Przekład I. Bietejowskiej, z illustracyami (Wydanie nowe w druku)........

Warnkówna Jadwiga. Jasiek Pliszka. Opowiadanie z życia »poznańskiego« dla młodego wieku. Z 15 rycinami. Korton. 1 20

Wójcicka Jadw. Moj dobroczyńca. Opowiadanie dla dzieci. Z rysunkami J. Owidzkiego. Karton........ 1 20
W oprawie . . . 1 50

Zaleska J. Wl. Dwie siostry. Opowiadanie z życia młodych dziewcząt. Wydanie 2-gie........ . 1 —
W ozdobnej oprawie 1 60

— Gwiazda Sudanu. Przygody podróżników w Afryce środkowej (M. Prévost-Duclos), z francuskiego naśladowane. Z .7-U rycinami Jul. Maszyńskiego. W oprawie........ 1 30

WYBÓR PISARZÓW POLSKICH

DLA DOMU I SZKOŁY.

DOTĄD WYSZŁY :

1. J. Kochanowski. Treny, k. 15
2. A. Mickiewicz. Grażyna. . 15
3. J. Kochanowski. Odprawa posłów greckich. . . .15
4. A. Mickiewicz. Konrad Wallenrod...............................20
5. K- Brodziński. Wiesław. . 15

P. Skarga. Kazania sejmowe. (Wybór)................................ .20

DALSZE TOMIKI BĘDĄ ZAWIERAŁY NASTĘPUJĄCE UTWORY!

A. J. Czartoryski. Bard polski.
A. Feliński. Barbara.
A. hr. Fredro. Zemsta za mur .graniczny.
— Śluby panieńskie.
J. Kochanowski. Wybór pieśni i psalmów.
— Wybór fraszek.
— Szachy.
J.Korzeniowski. Karpaccy' górale
I. Krasicki. Satyry.
— Myszeis.
— Doświadczyński.
Z. Krasiński. Nieboska komedya.
— Irydion.
— Przedświt.
— Psalmy przyszłości.
,K. Libelt. O miłości ojczyzny.
A. Malczewski. Maryń.
A. Mickiewicz. Dziady.
— Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego.
A. Mickiewicz. Sonety..
— Drobne wiersze.
J. 11. Niemcewicz. Powrót posła.
— Dwaj panowie Sieciechowie.
— Poezyc patryotyćzne.
]. Pasek. Pamiętniki.
W. Potocki. Wojna chocimska.
W. Pol. Pieśni Janusza.
— Pieśń o ziemi.
— Mohort. ■
— Obrazy' z podróży.
M. Romanowski. Dziewczę z Sączą,
K. Szajnocha. Jadwiga i Jagiełło.
— Wybór szkiców historycz.
L. Syrokomla. Wielki czwartek.
— Janko Cmentarnik.
— Bez clileba.
- Ułas.
— Urodzony Jan Dęboróg
— Wybór liryk.
j. Słowacki. Bielecki.
— Mnich.
— Godzina myśli.
— Kordyan.
— Balladyna.
— Trzy poematy.
— Anhelli.
— Lilia Weneda.
— Beniowski.
— Król-Duch.
K. Ujejski. Wybór.
F. Zabłocki. Fircyk w zalotach,
G. Żmichowska. Wybór liryk.'
— Poganka '